

ALEKSANDER
ŚWIĘTOCHOWSKI

DWA WIDMA

Aleksander Świętochowski

Dwa widma

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843134

Dwa widma:

Аннотация

Dwa duchy o skrajnie odmiennych osobowościach spotykają się żeby rozmawiać o nędzy ludzkiego losu. Wyraźne inspiracje romantyczne w formie, ale jakże odmienna diagnoza problemów epoki. Choć Świętochowski zaliczany jest zazwyczaj w szeregi pisarzy pozytywistycznych, to wydany w roku 1897 zbiór Bajki estetycznie należy już do epoki Młodej Polski. Autor daleko odchodzi od społecznych kontekstów czasów teraźniejszych i ostrej krytyki politycznej która cechowała go wcześniej. Zwraca się ku antykowi, filozoficznym wywodom i ponadczasowym tropom literackim. Złośliwi mogliby powiedzieć, że jest to już typowo młodopolska grafomania. Miłośnicy – że to rzadka okazja do podglądania estetycznej wrażliwości fin de siecle'u.

Aleksander Świętochowski

Dwa widma

Wybiciem późnej godziny zegar przeciął naszą rozmowę, którą prowadziliśmy tak gorączkowo, że chwilami w wyobraźni mojej ucieleśniały ją przeróżne widziadła. Wyszedłem rozmarzony.

Noc była jasna, po niebie jak po spokojnem morzu pływały białe, pierzaste chmurki, niby ławice piany, niby stada ptaków, niby statki z rozwiniętymi żaglami, dążące w kierunku latarni księżycowej, która obracając swą świetlistą głowę, znaczyła im drogę i odwodziła od zbłąkania. Mijałem ogród: lekkie podmuchy wiatru roznosiły orzeźwiający chłód kwiatom, które ugasiwszy pragnienie i obmywszy swe listki z dziennego kurzu w kroplach rosy, oddychały rozkosznymi woniami. Miasto już spało, a odległe turkoty rozlegały się między murami jak senne chrapanie. Choć ulice były puste, zdawało mi się, że mnie otacza rzesza duchów, upiórów smutnych i wesołych, które pozdrawiają się czy też złorzeczą sobie niepochwytnymi dla echa szeptami. Zwolna wyobraźnia moja zaczęła nadawać tym postaciom powietrznym kształty cielesne a gdy inne mignawszy pierzchały, dwie ujrzałem wyraźnie, idące przede mną. Jedna z nich w czarnej powłoczystej szacie, z pod której wymykały się stopy w sandały obute i ręce białe, sinemi, jak po ucisku klamer pręgami obwiedzione, szła spokojnie i niosła głowę dumnie. Na

jej pięknem, bladym obliczu nie barwił się nawet tak znikomy rumieniec, jak w blasku jutrzenki; natomiast oczy płonęły mocnym ogniem, a spieczone wargi drgały boleśnie. Włosy rozpuszczone w dużych zwojach, obiegłszy falisto twarz, spadały na ramiona i piersi, z których dobywały się częste westchnienia. Czasami ruchy jej niepewne i chwiejne zdradzały osłabienie, ale znowu opanowywała swą niemoc i rzucała spojrzenia pełne nieugiętej siły. Wtedy pod jej chmurnym czołem strzelały ze źrenic błyskawice wewnętrznej burzy a z warg zlatywały gromy.

Obok niej sunęła się, kulejąc, druga niewiasta w szarych łańcuchach, przez które dziurami przeglądało sinawe ciało. Rzadki, zrudziały włos spletanymi kosmykami wykradał się z brudnego, przekrzywionego na bok czepca i rozłaził się po twarzy nabrzmiałej, trądem gęsto obsianej, w której przygasłe oczy świeciły krążkami próchna. Do oślinionych ust przywarł bezmyślny uśmiech, przybierający często znamię dzikości.

– Dobrego jutra. A skąd to, siostrze? – zagadnęła pierwszą niewiastę ochryłym bezdźwięcznym głosem.

– Z cmentarza – odrzekła zapytana.

– Na mogiłach jagody nie rosną, warzyw ludzie nie sadzą, nie ma tam czego jeść...

– Całowałam groby męczenników życia, składałam na nich przysięgi i odbierałam przeznaczenia.

– Zostaw nieboszczyków w spokoju, niech jedzą ziemię, której mają podostatkiem, a dbaj o żywych, którzy giną z głodu.

– Umarli nie ulatują w wieczność, jak stado bocianów, po

których nawet szum skrzydeł milknie, lecz roztopiają się w powietrzu, którym żywi oddychają. Każdy człowiek pozostaje do zgonu dzieckiem na łonie przeszłości, ssącym mleko z jej piersi.

– Ja nie mam przeszłości. Mój ojciec nie wiedział że mnie splotził, matka urodziwszy, nie obejrzała i cisnęła do cudzej sieni, skąd mnie stróż wymiół do przytułku. Urosłszy, daremnie szukałam rodziców między parami w rowach i krzakach, tak jak nie jedno z moich dzieci nie rozpoznaje we mnie matki. Ha, ha, ha – gramy w ślepą babkę. Dopóki mężczyźni nie nauczyli mnie prawdy, myślałam, że nas biednych Bóg z błota lepi i na ziemię spuszcza z gradem.

– Nieszczęśliwi...

– Jak kiedy... Za grosz teraz szczęścia nie sprzedają, bo zdrożało, ale za pięć dostać można. Aby tylko więc grosze były, to wesela nie zbraknie. Dziś się dzionek pochmurzył. Od rana w brzuchu tak mi głód zębami zgrzytał, że chciałam odrapać i zjeść grzyby, które z wilgoci na ścianach izby wyrosły. Nawet pies ogryzionej kości nie zgubił, nikt na ulicy jabłka nie obrał i łupin nie rzucił, woda w rzece mułem nie zgęstniała; więc poszłam pod szynk, usiadłam na progu i wciągałam wyziewy wódki, aż mnie sen zmorzył. Karczmarz nogą kopnął i przebudził, za co mu podziękowałam, bo byliby mnie sprzątnęli i do jamy wrzucili. A wolność to przysmak.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.